

# DF Rozmowa Dużego Formatu



## Książki

### Katarzyny Bondy

„Sprawa Niny Frank” (2007),  
„Polskie morderczynie” (2008),  
„Zbrodnia niedoskonała” (2009),  
„Tylko martwi nie kłamią” (2010),  
„Florystka” (2012),  
„Pochłaniacz” (2014)

Bonda

# ANIOŁÓW NIE MA

## Jeśli chcesz pokazać dobro i zło, to musisz sięgnąć po to drugie

ROZMAWIA **KAROLINA SULEJ** ZDJĘCIA **BARTOŚZ BOBKOWSKI**

Z Katarzyną Bondą, autorką kryminałów, rozmawia Karolina Sulej

**Mianowano cię królową polskiego kryminału. Dziesięć lat temu miałaś jednak inne życie. Wszystko zmieniło się, kiedy przeżyłaś wypadek samochodowy.**

- Potrafiłam i zabiłam człowieka. Przez 12 lat jeździłam w trasy na różne reportaże i nigdy nic się nie stało. Wtedy jednak byłam przemęczona, zrozpaczona. Zamiast przejść żałobę po śmierci ojca, od razu wróciłam do pracy w redakcji, wydawało mi się, że to najlepszy sposób. Wypadek zdarzył się 11 dni po jego odejściu. Z Warszawy wyjechałam wczesnym rankiem, spieszyłam się do Tarnowa na materiał o stresie pourazowym u strażników służby więziennej. Jechałam za szybko, to prawda. Nigdy jednak nie jeździłam nieuważnie. Moja zdolność do koncentracji musiała jednak zostać nadszarpnięta przez stres. Nie zdążyłam wyhamować.

Pamiętam tylko buty tego człowieka. Spadły mu ze stóp. Urodził się tego samego dnia co ja. Tylko że ja miałam 28 lat, a on 80. Czulałam się, jakbym zabiła samą siebie. Nie mogłam sobie z tym poradzić. Nie wiedziałam, jak mam dalej żyć. Dostałam wyrok w zawieszaniu.

Długo się potem leczyłam. Brałam leki psychotropowe, chodziłam do psychiatry. Przeszłam pracować, nie byłam w stanie funkcjonować normalnie, ledwo wstawałam z łóżka. Wtedy poczułam, że nie chcę, nie potrafię wracać do swojego życia. Potrzebowałam nowego.

**I co zrobiłaś?**  
- Taka sytuacja pokazuje ci wyraźnie, że nie masz kontroli nad światem. Od zawsze chciałam być pisarką. Ale jestem megaleniem, megachórzem, megaasekurancką. Podobało mi się, że jestem ceniona w mojej pracy, byłam rozpieszczonym bachorem. Kiedy jednak zostałam z niczym, tylko z poczuciem winy i pustką, usiadłam po prostu przy biurku i zaczęłam pisać.

**Dlaczego kryminał?**  
- Nie mogłabym opowiadać o niczym innym niż sytuacja krytyczna - życie kontra śmierć. To, że zaczęłam pisać, było bezpośrednio spowodowane tym, że chciałam ułożyć sobie siebie na nowo, ale pośrednich powodów było mnóstwo. Może uznasz, że jestem kompletnie świnięta, ale wierzę w to, że kusimy los. Drażnimy swoją czując strunę, żeby w końcu zagrała.

**Kiedy zaczęłaś go kusić?**  
- Trafiłam do redakcji „Expressu Wieczornego”. Robiłam reportaże z miasta. Siedziałam biurko w biurko z fenomenalnym sprawozdawcą sądo-

wym Andrzejem Gasse - pisał wspaniale pitawale, znał wszystkich w sądzie. Jednego dnia zachorował. Szef działu musiał zwerbować jelenia, który pójdzie za niego. Wszyscy się pochowali, bo „sądówka” to najgorsza rzecz, jaką można dać dziennikarzowi. Nudno, nikt nie chce gadać, nic nie można skumać. No i powiedział: Bonda, ty pójdiesz.

**Było nudno?**

- Nic nie rozumiałam. Nie wiedziałam nawet, jak się poruszać po sądzie. Dopytywałam prokuratorów o sprawę, ale traktowali mnie z butą, bo nie znałam nomenklatury. Nie było jednak nudno. To był dla sprawozdawców bardzo ciekawy czas - procesy mafijne, dużo zbrodni w afekcie. Dziś ten zawód nie istnieje, dziennikarze przychodzą tylko na wyroki.

Moim pierwszym zadaniem była tak zwana sprawa Wojtka Króla, potem słynne wtedy procesy zabójców Tomka Jaworskiego, Joli Brzozowskiej, dilerów Ery GSM, sprawa Ultimo, procesy mafiosów: „Pershinga”, „Wańki”, wreszcie gangu „Rympalka” - niszowego gangu powiązanego z Pruszkowem, z 20 oskarżonymi. Nie umiałam stworzyć z zeznań świadków żadnego wiarygodnego obrazu. W bufecie sądowym spotkałam Jerzego Mierzewskiego, prokuratora. I zaczęłam z nim rozmawiać. Nie wiem, dlaczego zdecydował się mi pomóc. Wszystko mi jak blondynce wyjaśnił. Do dziś mi doradza przy powieściach. Dzięki jego pomocy zaczęła mi się kroić z tych sądowych zeznań historia. Napisałam taką scenkę o jednym z biegłych.

**Podobała się w redakcji?**

- Opieprzyłi mnie. Tak się nie pisze - to ma być styl telegraficzny, nie jakaś opowieść. Gassowi się jednak podobała - jego zdaniem przypominała minifilm. Zaczęłam z nim pracować. Nauczył mnie czytać akta. I rozumiałam, że to, co się dzieje na rozprawie, to jest teatr w odcinkach. Twarde dane są w teczkach. Warto jednak też wychodzić w teren, do rodziny ofiary czy oskarżonego. Pamiętam, jak stałam pod domem bliskiej kobiety, która namówiła narzeczonego, żeby zabił jej dziecko. Spotkałam tam Barbarę Pietkiewicz z „Polityki”. Była moim reporterskim guru. Razem przeprowadzałyśmy rozmowę. Poprosiła potem, żebym jej wysłała swoje teksty. Po przeczytaniu stwierdziła, że powinnam pisać kryminały, a nie reportaże. Za bardzo fabularyzowałam. Wcale mnie jej opinia nie ucieszyła - przecież usłyszenie, że zmyślasz, to największa obelga dla dziennikarza. A ja wciąż chciałam bym dziennikarką. Nie czulałam się gotowa na pisanie prozy. Trafiłam do „Newsweeka”, a potem do „Wprost” - najchętniej wybierałam tematy związane ze zbrodnią.

**Po wypadku chciałaś napisać o tym mężczyźnie, którego potrafiłaś?**

- Chciałam się dowiedzieć o nim jak najwięcej. Jednak rodzina postawiła mur. Adwokat stwierdził, że nie powinnam się napraszać.

**Pierwszy raz siedziałas w sądzie jako uczestnik, a nie obserwator.**

- Miałam duży opór, żeby usiąść na miejscu dla oskarżonego. Kilka lat jako sprawozdawca krążyłam po całej sali - siedziałam w prawie każdym miejscu, nawet za stołem sędziowskim. Ale nigdy na miejscu oskarżonego. Występowałam z wolnej stopy, nie zostałam aresztowana.

W momencie krytycznym byłam trzeźwa, przekroczyłam prędkość o 25 km/godz., nie miałam nawet punktów karnych, które się dostaje za łamanie przepisów drogowych, wykroczeń ty-

pu mandaty. Sąd wziął to pod uwagę. To tak zwana dobra diagnoza kryminalistyczna - byłam zawsze wzorowym obywatelem i nie popełniłam przestępstwa z wyrachowaniem, to był wypadek. Proces na szczęście ma też siłę oczyszczającą. Zanim zapadnie wyrok, musisz wygłosić ostatnie słowo.

**Co powiedziałaś?**

- Przepraszałam. Ale jak to mówiłam, cudam, że to niesmaczne. I chyba powiedziałam, że nie da się przeprosić. Że nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. To nie było dobre „ostatnie słowo”.

Adwokat się krzywił, że filozofuję, zamiast bronić się za wszelką cenę. Na przykład powinienam była się rozplakać, błagać o wybaczenie.

Nie potrafiłam płakać. Nie publicznie. To byłoby teatralne. Choć pewnie wielu oskarżonych postępuje w ten sposób, bo taki emocjonalny odruch pokazuje skruchę, budzi litość. Ja uważałam, że nie zasługuję na współczucie. Chyba też tak naprawdę chciałam być ukarana. Mówiłam o swojej winie, sumieniu i poprosiłam o sprawiedliwy wyrok, zapewniłam, że jakkolwiek by był, poddam się mu, bo chcę odpokutować. Powiedziałam też, że bardzo żałuję tego, co się stało, i będę żalowała do końca życia. To nie był truizm.

Miałam duży szczęście. Znow los, loteria. Teatralne gesty były poniżej mojej godności, ale gdybym trafiła na sędziego, który takich

Moi koledzy po fachu chcieliby być autorytetami, a ja jestem tylko dziewczyną z sąsiedztwa. Piszę dla zwykłych osób. I cieszę się, że mogę za to żyć

oczekiwał, groziłoby mi więzienie. Opinia psychiatry poparła mój stan - byłam wtedy w zdiagnozowanej głębokiej depresji i cierpiałam na PTSD. Ale to nie wystarczy, by dostać wyrok w zawieszaniu.

**A jak zareagowałaś na wyrok?**

- Zapadłam w stupor. Nie wierzyłam. Czulałam się, jakby to, co się dzieje, odbywało się za szybą. Jakbym była jednocześnie uczestnikiem i obserwatorem. Dokładnie tak się czujesz, pisząc fabulę. Jestem zdania, że każdy pisarz ma na koncie takie krytyczne doświadczenie. Inaczej wybrałby inną ekspresję twórczą. Nie da się pisać dobrych książek bez doświadczenia dramatu. Niekoniecznie musi być to doświadczenie śmierci. Niektórym wystarczy, że ukochany zdradził.

Długo byłam w szoku. Odebrano mi prawo jazdy, musiałam zdać egzamin jeszcze raz, ale zwlekałam. Przez lata bałam się wsiadać za kółko. Byłam w bazie osób skazanych. Pobrano mi odciski palców itd.

Wyrok tnie ci życie na pół. Po jakimś czasie zbierasz się, ale blizna zostaje. Czasem ludzie do mnie piszą, dzielą się swoimi doświadczeniami tego typu. To specyficzna grupa - sprawcy wy-

padków. Jest w tym jakiś palec losu. Kiedyś napiszę tylko o tym, ale wciąż nie jestem gotowa. Cały czas obrabiam ten temat na różne sposoby, tyle że pośrednio, detalicznie. Jeśli jesteś normalnym człowiekiem, a nie psychopatą pozabawionym sumienia, to poczucie winy zjada cię jak nowotwór. Nie myślę o tym w kółko, ale to wraca w moich postaciach, ich motywacjach, siedzi we mnie i może nigdy nie wyjdzie.

**Z tego wyszło twoje pisanie? Z poczucia winy?**

- Poczucie winy jest czymś, co każdy z nas zna. Ostatnio rozmawiałam z kolegami pisarzami i z ust jednego z nich padło, że waha się, czy pisać kryminały, bo to infekuje. Boi się, że jeśli obrabiasz tę mroczną działkę, to zło do ciebie wróci. Mnie to nie infekuje, nie rusza. Przerobiłam to na własnym ciele i dlatego mogę skutecznie pracować na tym materiale bez obciążenia emocjonalnych. Bardzo pomogła mi wyjść z pierwszego szoku książka o morderczyniach. To była dla mnie bardzo ważna praca. Kiedy kończyłam zbierać materiał, zaszłam w ciążę. Zastanawiałam się, czy to dowód na istnienie równowagi w świecie. Przytrafia ci się coś strasznego i pięknego jednocześnie w bardzo krótkim czasie. Czy to sprawiedliwe? Na jakім świecie urodzę dziecko? Czy jestem godna, by je urodzić? Cięża napelniła mnie spokojem. Była jedynym jasnym elementem w moim życiu w tamtym czasie i jednocześnie zbroją w tych trudnych rozmowach.

Te kobiety zabiły - społeczeństwo widzi w nich bestie. Ja też zabiłam - czy jestem bestią? Kim one są? Kim jestem ja? Znajomi dziwili się: ale Kaśka, przecież zawsze byłaś takim pistoletem, nie mazgaj się, wracaj do dziennikarstwa, dzielna z ciebie dziewczyna. Pewnie mogłam wziąć się w garść i żyć jak dotąd, ale czulałam, że powrotu nie ma. Emocjonalnie byłam już bardzo daleko od mediów. Szukałam czegoś ponad informację, które stały się dla mnie tylko tworzywem dla tematu uniwersalnego. Dreczyły mnie pytania ostateczne. Podjęcie decyzji o wyrwoceniu życia do góry nogami nie było najtrudniejsze. Najtrudniej było w niej wytrwać.

**Dlaczego?**

- Pierwsze lata mojego pisania to bieda z nędzą i dostawanie po głowie. Wtedy to, co jest dziś atutem moich książek - że przypominają powieści obyczajowe - wydawało się zatruceniem gatunku. Musiałam sprzedać praktycznie wszystko ze swojego mieszkania. Wszystkie drogie torebki, wszystkie buty i płaszcze, które kupowałam sobie za czasów prosperity, poszły na handel. Wydzwaniał do mnie komornik, wydzwaniał RWE. Ja jednak w tym pustym mieszkaniu czulałam się wolna, oczyszczona.

**Pisanie zadziałało jak terapia?**

- Interesuje mnie błąd, skaza, moment krytyczny. Z najciemniejszej nocy próbuję potem iść do jasności. Przyczyna, chwila decydująca i wniosek - to ciężka nasza droga życia. Każdy z nas może popełnić coś złego. Nie ma bestii. Nie ma aniołów. To dla mnie śmieszne, żeby wierzyć w coś takiego. To wygodnickie. W ten sposób odsuwamy od siebie myśl, że każdy bliźni może nam być wilkiem. A tymczasem powinniśmy być czujni, przyglądać się sobie nawzajem. Bo nawet psychopata ma czasem twarz Madonny. Tego nas uczą kryminały. Nie paranoicznego podglądactwa, ale rozumienia natury ludzkiej. Jeśli chcesz pokazać dobro i zło, to musisz sięgnąć po to drugie.

## DF Rozmowa Dużego Formatu

### Jak wygląda twój research?

– Zawsze zaczyna się od prawdziwego wydarzenia. Tak było z „Florystką”, moją trzecią powieścią. Przyszła do mnie, kiedy pracowałam nad książką o morderczynie. W aktach trafiłam na listy kobiety pisane do jej psychiatry: opisywała w nich ogród, w którym spotyka się ze swoim synem. Syn został brutalnie zamordowany. Na początku każdej powieści szukam pytania dramaturgicznego – nie kto zabił, nie motyw, ale jądra powieści, czyli o czym to będzie. I wiedziałam, że „Florystka” będzie opowiadać o matce, która nie może pogodzić się ze śmiercią swojego dziecka.

### Wiesz, o czym będzie książka. Co dalej?

– Wymyślam dramaturgię opowieści. Piszę szczegółowy konspekt – na początku ma 40 stron, każdą scenę w punktach, po kolei. Stopniowo skracam go coraz bardziej, aż do strony, dwóch. Dzięki temu kregosłupowi nie zagubię się w intrydzie. Piszę scenę po scenie, jedną, dwie dziennie. Kiedy mam już strukturę dramatu, potrzebuję lokalizacji, scenografii. Każde miejsce ma swoją energię i w określony sposób wpływa na klimat powieści. Do „Florystki” potrzebowałam miasta zielonego, z dobrą komunikacją miejską, niewielkiego, ale nie prowincjonalnego. Wybrałam Białystok. Za tym wyborem przemawiały też argumenty praktyczne – mogłam w jeden dzień obrócić w Warszawie i z powrotem.

We „Florystce” ważne są też cmentarze. Rozkładałam mapę i sprawdzałam, ile jest w Białymstoku cmentarzy i ile zajmuje przemieszczanie się między nimi komunikacją miejską. Zawsze zaznaczam na mapie miejsca, które przydadzą mi się do książki. Gdzie mieszka bohater, gdzie położyć trupa.

Schodziłam cały Białystok w poszukiwaniu inspiracji. Policjanci pomogli mi znaleźć miejsce, gdzie tamtejsi mieszkańcy zabijają się przez powieszenie. Wytłumaczyli mi nawet, że da się stwierdzić na podstawie odległości wisielca od wejścia do parku, jak bardzo samobójca był zdesperowany. Wytłumaczyli, jak się odcina wisielca, ile jest do tego potrzebnych osób.

Najbardziej pomogła mi jednak dwójka nastolatków, którzy jechali na festiwal w Jarcinie. Wzięłam ich na stopa. Opowiedzieli mi o takim Białymstoku, jakiego bym nie znalazła, a potem penetrowaliśmy go razem. Łaziliśmy po terenie starej oczyszczalni i okolicznych mokradłach, które potem trafiły do książki. Doszczętnie niszczyłam ulubione buty, było błoto, smród. Wszystko jednak wykorzystałam. A oni za swoje rady chcieli tylko zgrzewkę piwa i kryminały.

### Miejsce akcji twojej ostatniej powieści, „Pochłaniacza”, to Trójmiasto.

– Moim bohaterem jest mafioso ze Stogów, z dzielnicy Gdańska. Ponieważ akcja książki dzieje się wczesną wiosną, jeździłam nad morze tylko wtedy, kiedy było brzydko i niezbyt przyjemnie, żeby ustrzec się przed pocztówką. Mam w Trójmieście znajomych i prosiłam ich o pomoc. Dagny Kurdwanowska na przykład sprawdzała dla mnie, ile mogłaby trwać ucieczka przestępcy w określonym rejonie miasta. Założyła adidas, pobiegła i zmierzyła czas.

### Nie męczy cię to ciągle sprawdzanie wszystkiego? Nie lepiej pozmyślać?

– W „Pochłaniaczu” scenę pobierania zapachu najpierw zamarkowałam. A to kluczowe decyzje dla powieści, gdzie jedynym tropem na miejscu zbrodni jest zapach. Pochłaniacz to urządzenie do jego pobierania. Wysłałam moją scenę do sprawdzenia laboratorium kryminalistycznemu. Powiedzieli, że to bzdura. Skuliłam więc ogon pod siebie i pojechałam do Lublina, do najlepszych osmologów w kraju. Dali mi do ręki prawdziwy pochłaniacz, zebrali mój zapach, pies go rozpoznawał. Powiedziałam im, na czym polega fabuła, a oni na sucho rozpisali każdemu mojemu bohaterowi badanie osmologiczne.

**W każdej twojej książce pojawia się inna dziedzina wiedzy, której znajomość jest bardzo istotna dla fabuły – czy to będzie osmologia, czy florystyka, czy medycyna sądowa.**

– Uczę się z każdą książką. Kiedy pisałam scenę oględzin ciała, konsultowałam się z czterema specjalistami. Każdy miał inny pogląd. Dzięki temu mogłam opisać ich konflikt na przykład jako spór między policjantami. Albo jedną hipotezę uznać początkowo za słuszną, a potem pokazać, że jednak inna jest właściwa. Każdy może wymyślić intrygę typu: zabiła go, bo za bardzo kochała. Ale laik nie wymyśli, jak działa i myśli dana grupa zawodowa. Musi to

od niej usłyszeć. Kontakt z żywą osobą daje ci też masę plastyczną do budowania postaci – mimikę, gesty, natręctwa.

Nie chcę czerpać wiedzy z internetu czy gazety, gdzie będę ją dzielić z bilionem ludzi. Chcę odbyć rozmowę, którą mogłam odbyć tylko ja. I dać czytelnikowi ekskluzywny towar, jedyny egzemplarz.

### Dlaczego na bohaterów swoich książek, tych, którzy ścigają zbrodniarza, najpierw wybrałaś profilerę Huberta Meyera, a potem profilerkę Saszę Załuską? Kim jest profiler?

– Zawód ten narodził się w Stanach, początkowo po to, żeby ułatwić identyfikację (głównie rasową) przestępców. Najlepiej sprawdza się w przypadku zabójców seryjnych, kiedy jest kilka przestępstw do materiału porównawczego. Profiler pyta: dlaczego? Potem: jak do tego doszło? I dopiero na końcu zastanawia się: kto mógł to zrobić? W Polsce to policjant – ma mundur, jest w hierarchii. Ale jego robota to szukanie w otoczeniu śladów, które wskazują, kim jest przestępca. Mogą o tym mówić obrażenia na ciele ofiary, miejsce, w którym je znaleziono. Można prześledzić ostatnie godziny jej życia, zastanowić się, jak drogi jej i mordercy mogły się skrzyżować. Profiler sporządza precyzyjną psychologiczno-antropologiczno-detektywistyczną ekspertyzę. Sugeruje, ile lat ma morderca, jakiej jest płci, jego wykształcenie, gdzie może mieszkać, jakim jeździ samochodem. Redukuje tomiszczą akt do kilku stron opisu.

### Ty swój konspekt też redukujesz, ale działasz odwrotnie niż profiler.

– Zaczynam od końca. Muszę wiedzieć, co i jak, kto zabił, a potem nakładam na to maskę zagadki. Raz na jakiś czas robię tak zwane „prześwitę” – miejsca, w których odsłaniam czytelnikowi nieco karty. Tylko w pierwszej książce, „Sprawie Niny Frank”, morderca jest klasyczny, jak w kryminałach Christie, czyli wyskakuje jak królik z kapelusza.

### Twój profiler oparty jest na prawdziwym policjancie z katowickiej komendy – Bogdanie Lachu.

– To jest miks różnego typu profilerów, także tych amerykańskich i brytyjskich: Douglas, Resler, Britton, Turvey. Z Bogdana jednak jest wiele. Napisałam zresztą potem razem książkę „Zbrodnia niedoskonała”, która traktuje o zawodzie profilerka.

Sasza Załuska oparta jest zaś na brytyjskiej profilerce z Międzynarodowego Centrum Badań Psychologii Śledczej w Huddersfield. Przyjechała do mnie kiedyś, bo chciała porozmawiać o bohaterkach „Polskich morderczyń”. Jej szefem jest David Canter, twórca terminu „psychologia śledcza” i wielki propagator profilowania przestępców na Wyspach Brytyjskich. Stworzyłam Saszę, bo drażniło mnie, że nie ma w polskiej literaturze rozrywkowej pełnokrwistej samodzielnej profesjonalistki, która musi się zmagać z życiem, zawodem, związkami. One wszystkie, nawet w powieściach kryminalnych, lepią ciasto i mają intuicję. Sasza to mój hold dla policjantek, które wciąż muszą udowodnić, że są coś warte, wciąż walczyć o prawo do kochania bardziej swojej pracy niż robienia obiadów. W policji facet ma autorytet – to rzecz oczywista. Kobieta, szczególnie kobieta, ma w środowisku policyjnym, detektywistycznym przechłapano. Traktują ją jak mniej kompetentną.

**A czy tobie twoja kobieca uroda nie przeszkadza w pracy? Na pewno widziałas zastawienie portalu Booklips, który zamieścił ranking najpiękniejszych polskich pisarek. Byłaś na drugim miejscu. O czym pomyślałaś, kiedy to zobaczyłaś?**

– Nie rozumiem, z jakiej racji byłam dopiero na drugim miejscu.

### Nie uważasz, że taki ranking to przejaw seksizmu?

– Dlaczego? Przecież jestem ładna. Zawsze byłam ładna i to nie jest dla mnie problem, że ktoś to widzi. Wręcz cieszę się, że to wciąż widać, bo niedługo już pewnie będę. W ogóle mnie ten ranking nie obraża i nie oburza. Wręcz śmiejesz mnie to, że niektóre wymienione autorki się bulwersowały i mówiły, że to żenujące. Przecież nikt nie oceniał naszych książek na podstawie naszego wyglądu. To był po prostu przejaw czyjegoś gustu, a mamy prawo oceniać osoby publiczne, które się do nas mizdrzą.

### Czy gdybyś była brzydka, miałabyś trudniej w pracy?

– Na pewno typ urody, jaki reprezentuję – zgrabna blondynka – pomaga mi w pracy. Za-



**Wciąż myślimy, że musimy mieć takie zbrodnie jak Amerykanie. A przecież mamy kraj z opowieściami, których może nam zazdrościć cały świat**

nim eksperci, u których konsultowałam tematy do książek, zdążyli mnie lepiej poznać, zgadzali się na rozmowę tylko dlatego, że chcieli sobie porozmawiać z blondyneczką. Wykorzystałam to. Nie traktowali mnie poważnie, a potem nagle byli w szoku, przerażeni, ile ja wiem, i po tym wytrąceniu z równowagi mówili mi wszystko otwarcie.

### A czy uroda ci kiedyś przeszkadzała?

– Zawsze byłam bardzo pewna siebie. W zestawieniu z atrakcyjnością fizyczną niektórzy interpretowali to jako zadzieranie nosa, wyniosłość. Do dziś czytelnicy piszą do mnie, że bali się do mnie podejść na spotkaniu, że nie spodziewali się takiej zwyczajnej, ciepłej dziewczyny.

### Kiedy pojawiłaś się w jednym z odcinków „Pytania na śniadanie”, powitaly cię uniesione brwi prowadzących – dlaczego taka śliczna blondynka interesuje się takimi okropnościami?

– To pytanie, które słyszę najczęściej. W podtekście – musi być z panią coś nie tak. Piszę też czasem tak zwani wielbiciele, którzy uważają, że na pewno jestem jakąś perwersyjną czarownicą, którą kręca seryjni mordercy. Ten kontrast – klasycznej urody z moimi niesztampowymi zainteresowaniami – ich podnieca. Nie dziwi mnie to jednak. Przecież przed taką materią rodzice chronią małe dziewczynki. To chłopaki mogą się bić, włóczyć, strzelać z huku, zdzierać kolana, czytać o detektywach i kowbojach. Dziewczynka, która interesuje się policjantami, śledztwami, to jest jakieś kuriozum.

### Jak wychowywała cię mama?

– Na damę. Nie byłam chłopczycą. Byłam jednak bardzo uparta, apodyktyczna, ciekawska i zawzięta. Wychowałam się w Hajnówce pod Białymstokiem. Mama była chemiką, ojciec tokarzem. Myślałam, że z tego, że przeszłam drogę stamtąd do miejsca, gdzie jestem teraz, wynika mój hart ducha. Dlatego nie przejmuję się, kiedy ktoś zarzuca mi, że jestem arogancką tupeciara. Gdybym miała mniej siły przebiccia, zostałabym z rodzicami w moim miasteczku, gdzie większość dziewczyn w wieku 20 lat ma pierwszego chłopaka, rok później wychodzi za niego za mąż, a po dwóch latach ma dziecko.

W drugiej klasie liceum po prostu zakomunikowałam rodzicom, że idę na dziennikarstwo. Myśleli, że mi przejdzie. Nie rozumieli mojej decyzji, bali się o mnie, ale wpoili mi przekonanie, że jeśli tylko czegoś chcę, mogę to osiągnąć. Wiedzieli bez tych wszystkich współczesnych podręczników, że najważniejsze to zaszcześcić dziecku pewność siebie. Dużo zawdzięczam mamie. Zawsze potrafiła postawić na swoim. Profilerka Sasza jest Załuska, bo to panięńskie nazwisko mamy.

Kiedy po wypadku miałam depresję, mama przyjechała, zaopiekowała się mną, zostawiła „Sto lat samotności” i jedną historię ze swojego życia. Uciekla z domu, kiedy miała 17 lat, bo chcieli ją wydać za bogatego rolnika i zabronili jej dalej się uczyć. Spojrzała na swoje sandały i zrozumiała, że musi natychmiast biec jak najdalej. Udało się jej. Poszła na studia. Wyszyła za mąż dopiero jako 38-latką, z miłości. Zastanawiałam się, po co dała mi tę historię. Na szczęście dotarło. Zebrałam się z łóżka.

### Podkreślasz, że w twoich książkach zależy ci na dobrym zakończeniu.

– Ale nie w znaczeniu happy endu – żyli długo i szczęśliwie. Po prostu uważam, że klasyczna opowieść ma swój koniec – przywrócony balans między złem a dobrem. Trup jest pretekstem. Najbardziej interesuje mnie historia mojego bohatera, któremu najpierw w wyniku jakiegoś straszliwego wydarzenia zawała się życie i któremu w toku wydarzeń, śledztwa, opowieści pozwalam w tym życiu się pozbiierać. Tak jak pozbiierałam się ja.

### Jak znosisz krytykę swoich książek?

– Kiepsko. Wyprowadza mnie z równowagi. A najbardziej wtedy, kiedy ktoś to krytyczne zdanie rzuca mimochodem, a nie wprost. Jestem zdecydowanie przewrażliwiona. Pewnie dlatego pilnuję, żeby przy każdej kolejnej książce nie tylko poprawiać błędy, ale też podnieść poprzeczkę. Po debiucie poszłam na kursy creative writing. Teraz, po latach, uczę creative writing w Maszynie do Pisania – to szkoła, której jestem współzałożycielką.

### Kiedys powiedziałas, że żaden pisarz

**nie powinien brandzlować się tym, że jego książka jest bestsellerem. „Pochłaniacz” nim jest, a ty piszesz o tym na Facebooku.**

– Myliłam się. Pozycja na liście bestsellerów świadczy o tym, czy dobrze wykonuję swoją pracę. I mam prawo się tym pochwalić. Należy zapomnieć o tym, że pisarz siedzi sobie w swetrze w kąci i nawet nie wspomni o tym, że napisał książkę. Musi zaangażować się w promocję. Kiedy napisałaś dobrą książkę, krzycz o tym. Nie mówię o generowaniu skandali, ale myślę, że tak jak magisterkę, doktorat – musisz tę książkę obronić.

Zresztą, żeby napisać cokolwiek, musisz być introwertykiem, świrem. Ale potem musisz być handlarzem. Wielu pisarzy nie potrafi walczyć o pieniądze. Nie rozumieją, że kiedy ją napiszą, książka staje się produktem. To taki sam produkt jak jogurt, rajstopy, komórka. Katarzyna Bonda – produkt. Tłumaczę to kolegom po fachu. Trzeba walczyć o tantiemy, uczestniczyć w kolowrocie marketingowym, czytać umowy. I proc. wyżej tantiem to miesiąc mojego życia. Jeśli ktoś sobie nie radzi, powinien mieć agenta albo prawnika. Lepsze warunki finansowe to więcej czasu na pisanie. Jeśli musiałabym pisać po godzinach, to jedna powieść zajmowałaby mi sześć lat. Mam w nosie, że mi zarzucają, że uprawiam agresywny marketing.

Ostatnio rozmawiałam z kolegami po fachu – został podniesiony temat, że Rusinek reklamuje orzeszki. Ja się nie oburzam. Dlaczego Gajos ma prawo reklamować kawę, Janda – kremy przeciwzmarszczkowe dla dyskontu spożywczego, a Rusinek nie może fistaszków? Ja chętnie coś zareklamuję. Moi koledzy chcieliby być autorytetami, a ja jestem tylko dziewczyną z sąsiedztwa. Chcę, żeby moje książki były sławne, a to znaczy, że ludzie muszą mnie kojarzyć. Jestem zwykłą osobą, piszę dla zwykłych osób. I cieszę się, że mogę za to żyć. To zdejmuję mnóstwo lęków z głowy.

### Jakich?

– Zawsze bałam się, że jakiś facet mnie kupi. Nie zdzierzyłabym, gdyby ktoś mnie utrzymywał. Majątek mi nie imponuje. Imponuje mi facet, który wie, jak mi poradzić, kiedy zamieniam się w małą dziewczynkę. Nie wierzę w tę całą romantyczną opowieść, w serduszką, bukiet kwiatów i białe konie. Lubię konkret. Kiedy facet mówi mi: Kocham cię – jestem sceptyczna. Oczywiście, sama też używałam tego słowa, ale wcześniej zaznaczałam, że nie za bardzo wiem, co oznacza. Nie wierzę w pojęcia abstrakcyjne.

### Sprzątasz, gotujesz, troszczysz się?

– Nigdy nie będę taką partnerką. Kiedy on mówi: powachaj, jak pięknie u sąsiadów pachnie placek z jabłkami, ja odpowiadam niewinnie: chcesz iść do restauracji? Nie chcę zajmować się dbaniem o dom i faceta. To zajmuje strasznie dużo czasu. A ja piszę książki i to zajmuje mój czas. To książki rządzą moim czasem, nie kipiące kartofle.

# Talko

## Ja tu tylko sprawdzam Jak zasnąć



### Nigdy nie sprzątasz?

- Czasem sprzątam kompulsywnie. Raz pomalowałam mieszkanie na biało, bo „Pochłaniacz” nie mógł ze mnie zejść. Obudziłam się rano i natychmiast musiałam jechać po farbę do Castoramy. Pomogło.

### Pisarka nie wygląda w takim razie na najlepszą kandydatkę do związku.

- Pisarka cały dzień pisze i chodzi w dresie, bez makijażu, z papierosem albo herbatą. Jest despotką. Mówimy o regularnych pisarkach, które jak maszyna są w wirze tworzenia. Wściekła, kiedy jej nie idzie, jest skłonna do depresji z blahego powodu. Przemądrzała, zarozumiała, ma o wszystkim swoje zdanie, na dodatek ma wysokie mniemanie o sobie i nie chce nawet uradować słodkiej idiotki.

Pisarki powinny dostawać medal. Większość pisarzy ma żony, one im ogarniają życie, a oni mają swoje bóle twórcze. Ona ogarnia, on tworzy. Pisarka musi i tworzyć, i ogarniać. Ja jestem też matką. To – tak jak pisanie – zajmuje dużo czasu. Notorycznie się spóźniam do szkoły, bo kiedy piszę do piątej rano, mam problemy ze wstawaniem. Facet ma prawo do takich słabości; kiedy kobieta to robi, to jest egoistyczna, dominująca, socjopatyczna.

### Twój facet rozumie twoje rozterki?

- Rozumie. On także pisze kryminały. Dotąd nie mówiłam publicznie nawet o tym, że jest pisarzem, by nie posądzono mnie, że wspinam się na jego plecach na literacki parnas. Jestem z nim nie tylko dlatego, że szanuję go zawodowo. Mogę być przy nim całkowicie sobą, także silna, kłębna i niezależna. A i tak to on jest szefem w tym związku. I zamiast czuć się wykastrowany przez modliszkę (tekst mojego byłego), śmieje się, że moja waleczność jest uroczna. Nie musi sobie radzić z moimi sukcesami, bo sam je odnosi. Oboje gramy w pierwszej lidze. Teraz oboje startujemy do tej samej nagrody – Wielkiego Kalibru. Będzie trudno. Mówimy, że nam nie zależy, ale rywalizujemy ze sobą. Z jego sukcesów cieszę się jak ze swoich, ale ze swoich ciesze się bardziej. Jestem szczera. Facet musi mieć ją, by znieść to, że jego kobieta ma teraz swoje pięć minut. Jesteście podobni do siebie?

- On jest uporządkowany i elegancki. Ja mówię wszystko prosto z mostu, jak jest. Myślę, że wiele się od siebie uczymy, może też dlatego, że nie mamy podobnych zainteresowań. On nie czyta literatury pięknej – przynosi, żebym ja przeczytała najpierw i mu opowiedziała, a wtedy on ziewa. Z filmami mamy taki układ – jak on pójdzie ze mną na „Witaj w klubie”, to ja z nim pójdę na „Jacka Stronga”.

### A o swoich książkach gadać?

- W kółko. Sprawdzamy na sobie tropy, podsuwamy motywy i wyśmiewamy słabości fabularne, co bardzo pomaga, kiedy pracujesz analitycznie, a tak właśnie wymyśla się powieści kryminalne. On jest moim pierwszym czytelnikiem. Pisze krótsze książki, więc jak widzi to moje tomszcze, to wywaliłby trzy czwarte, ale kocha mnie, więc stara się być delikatny. A ja mówię: weź nie pierdol, powiedz mi konkretnie, co jest nie tak, teraz nie jesteśmy razem, teraz jestem obca. Potem to muszę przeżyć, przetrwać emocje, jednak to bezcenne.

Nasze rozmowy barwią potem nasze książki. W „Pochłaniacz” na przykład pojawia się anegdota z mięsem (eksperyment namażania się larw, po czym rozpoznaje się, kiedy ofiara zginęła). Ta sama historia pojawia się w książce mojego mężczyzny. Zostawiam tę zagadkę do rozszyfrowania czytelnikom, którzy zresztą już ją wyłapali i pytają nas o nią na spotkaniach autorskich. Teraz oboje piszemy kolejne książki i zupełnie niezależnie napisaliśmy pierwsze sceny na strzelnicy. Oczywiście każde z nas używa tych elementów na swój sposób i we własnym stylu. Ale nie powiem, żebym była zadowolona, kiedy się dowiedziałam. Jestem okrutnie zazdrosna o każdą smaczną historię czy ekskluzywne dane. Dobrze, przyznam się – byłam wściekła. Ale doszliśmy do porozumienia, bo sprawdziliśmy – tylko miejsce akcji się pokrywa. Sceny mają inne funkcje i są inaczej ograne. Jednak czasami ta osmoza mentalna zaczyna być niebezpieczna.

### Jak się poznaliście?

- Kiedys bardzo się nie lubiliśmy, ponieważ oboje napisaliśmy swoje książki z podobnym typem bohatera. Ja byłam pierwsza, ale on dostał prestiżową w branży Nagrodę Wielkiego Kalibru. Wobec czego uznałam, że to mój największy wróg. Spotkał się wiele lat póź-

niej. To nie była miłość od pierwszego wejrzenia, ale złapaliśmy komitęwę. Uznałam, że jest zabawny i czarujący, ale nie byłam zainteresowana przez następne dwa lata. Wszystko zmieniło się, kiedy pisałam „Pochłaniacz”. Zakończyłam się, kiedy napisał mi piosenkę, która jest kluczem do powieści. Nie wierzyłam, że mu wyjdzie – gdzie autor kryminalów, jeszcze takich krótkich, do lirycznej piosenki?

„Dziewczyna o północy, na twarzy błogi uśmiech, rozświetlone oczy, wiem, że powróci znów i znów ją będę gościł, nim odpłynięmy wszyscy stąd do wieczności”.

- Byłam znokautowana. Oczywiście odpowiedziałam mu ironicznie, że to naprawdę nie do przyjęcia, by pisać dobrze i powieści, i piosenki. **Piszesz o Saszy w „Pochłaniacz”:**

„W głębi serca czuła się gorsza, wybrakowana, słaba, ale nigdy nie przyznałaby się do tego publicznie. I nigdy nie będzie z nikim tylko dlatego, że tak trzeba. Czasem tylko marzyła o tym, żeby móc zrzucić z siebie choć jeden z macierzyńskich obowiązków, pozwolić sobie na luz. Ale to na razie było niewykonalne. Trwała jak żołnierz na warcie”.

- To było moje życie, zanim nie poznałam mojego aktualnego faceta. Mogłam zmienić się, dopasować do pragnień mężczyzny, jakich poznałam. Nie chciałam tego – podobnie jak Sasza. Najgorsi byli tacy, którzy się nade mną litowali, chcieli mnie uleczyć. Litość była ostatnią rzeczą, której potrzebowałam po rozstaniu z ojcem mojej córki. Obwiniałam się, że to moja wina, że jestem dziwna, że nigdy nikogo nie znajdę. Jaka kobieta wokół mnie jest tak strasznie skoncentrowana na pracy? Samotność była dotkliwa. Nieraz zastanawiałam się, czy nie być z kimkolwiek – dla dobra córki czy z przyczyn finansowych. Z książek wtedy ledwo się utrzymywałam. Cieszę się, że wtedy nie pękłam, że wytrzymałam. Skupiłam się na córce tak jak Sasza.

### Czy twoja Nina rozumie, co robi mama? Że mama musi mieć spokój, kiedy pisze?

- Jedzie wtedy do babci – albo do mojej mamy, pod granicę białoruską, albo do tej warszawskiej, „przyszywanej”, która na początku była tylko płatną opiekunką, i ma fajnie. Nie musi wstawać rano, babci organizują mnóstwo atrakcji. Ja przyjeżdżam raz w tygodniu. Zresztą potem, gdy już odchoruję pisanie: wyleczę zapalenie spojówek i gardła – papierosy naprawdę są niezdrowe – urządzam rodzinie jakąś gratyfikację.

Ale piszę średnio pięć miesięcy. Nie mogę sobie pozwolić, żeby nie było mojego dziecka cały ten czas. Odprowadzam dziecko do szkoły, piszę od 8 do 16, potem już nie pracuję. Dziecko dobrze dyscyplinuje i zapewnia higienę psychiczną, bo nie dotyka przestępstwa książkowej i absorbuje moją uwagę na lekkich, do- brych aspektach życia.

Mam wrażenie, że Nina cieszy się z tego, co robię. Ostatnio zrobiła mi straszny wstyd w warszawianku, bo kiedy awanturowałam się, że koperki czy marchewka, które chcę kupić, są zgniłe, popatrzyła poważnie i powiedziała do ekspedientki: „Proszę uważać, moja mama jest królową kryminału”. Jakbyś rzeczywiście była jakąś postacią z bajki. Strasznie się wzruszyłam. Nina jest dla mnie wszystkim. Traktuję ją jak człowieka, nie jak dziecko. Zawsze rozmawiamy wprost, nawet o rozpadzie związku z jej tatą wiedziela na bieżąco. Wierzę w prawdę – w książkach i w życiu.

Nie nazywam siebie artystką, bo ja nie tworzę. Robię. Jestem rzemieślnikiem. Nie mogę zaważyć zadania, bo miałam jakieś humory, bo mi córka płakała, a facet chciał obiad. Muszę przewalić hałdę węgla, sama się nie przewali.

**Czy Polska dojrzała do dobrego kryminału?**  
- Wciąż myślimy, że musimy mieć takie zbrodnie jak Amerykanie. A przecież mamy kraj z opowieściami, których może nam zazdrościć cały świat. Historia Polski zwykle opowiadana jest na sposób pomnikowy. Autorzy kryminałów powinni te pomniczki rozbijać, zaglądać pod nie i grzebać patykami. Szczęrze opowiadać o tajemnicach naszej historii, łamać tabu. Będziemy w ten sposób jednocześnie zgłębiać naszą tożsamość i podnosić atrakcyjność Polski dla zagranicy. Dla nich jesteśmy miejscem egzotycznym – dziwnym krajem między Niemcami a Rosją. Wyzyskajmy to! Zrobmy z siebie markę, jak to zrobiła Skandynawia. Pokażmy im, że takich zbrodni jeszcze nie widzieli. ☐

**S**ytuacja jest taka: trzeba zasnąć, a tu nic. Barany nie działają; liczenie innych rzeczy – nie pomaga.

Może mam za cicho? Istnieją ludzie, którzy nie znoszą dźwięków. Ci powinni mieć zatyczki w uszach i jest na ten temat sporo literatura. Ja jednak mieszkam w lesie, więc być może potrzebuję hałasu. W mieście lubiłbym skrzyknięcie tramwajów przejeżdżających pod oknami – aż do czasu, gdy wyciszono tory.

Kupię tykający zegar, pływający potoczek lub pohakującą sowę. Właściwie w tym lesie to sowę powinienem mieć prawdziwą, ale najwyraźniej nie doleciała. Mam dzieciola, ale on w nocy śpi.

Z załatwieniem strumyczka miałbym problem, ale dźwięki mogę po prostu kupić. Płyty z dźwiękami na dobranoc to pojemna nisza muzyczna i ma własne bestsellery. Na szczycie są dźwięki lasu, ale tego nie chcę. Las mam dookoła i owszem, wydaje odgłosy, ale raczej wybudzające – na przykład stado dzików za plotem wybudza mnie bardzo. Ptaki, których dźwięków mam też mnóstwo dookoła, także nie działają dobrze na sen. Mogłbym natomiast spróbować z dźwiękiem morza – który mogę sobie wyobrazić – i dźwiękiem gór – który wyobrazić sobie trudno. Stawiam na morze – fale i szum to może być właśnie to, czego mi brakowało; a dźwięk gór sobie daruję – może mieć coś wspólnego z Krupówkami w sezonie.

**Dźwięki morza są super, ale śpi się przy nich trudno. Nie wiem, w czym rzecz. Może to morze jest po prostu przesterowane i za głośno szumi?** Ściszenie morza nie pomaga, podobnie jak podłączenie jonizatora powietrza dla osiągnięcia pełnego morskowego efektu.

Na niektórych ludzi ptaki czy szum morza po prostu nie działają – upewniają mnie poradniki. Trzeba szukać dalej.

Nie pomaga też ciąg Fibonacciego, który zastąpił barany i jest polecana metodą na bezsenność. To ciąg liczb, w którym kolejną jest sumą dwóch poprzednich. Pewnie opuściłem tę lekcję w szkole, ale szybko nadrobiłem: 0, 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34...

Gdzieś tak koło 55 zgubiłem się i zacząłem od początku, co mnie wybudziło. Ale może matematyków usypia.

**Wreszcie coś oryginalnego.** Portal Wikihow radzi, żeby zamieniać nieprzyjemne rze-

czy w ciemność. Brzmi enigmatycznie, a w detalach wygląda tak: wspominam coś niemilego. Choćby kredyt mieszkaniowy i konieczność zapłacenia raty. Myślę o nim długo i staram się go zwizualizować. W przypadku kredytu to niełatwe, ale wreszcie widzę ten przekaz i sumę, i to naprawdę nieprzyjemne. Powinienem teraz zamienić ten obraz w ciemność i zasnąć. Im bardziej jednak myślę o tej racie, tym bardziej mężczy mnie myśl, czy na pewno zapłaciłem poprzednią. A jeśli nie? Jeśli bank sprzedał mój dług i zaraz na progu zjawi się komornik?

Tak czy inaczej powinienem to sprawdzić, więc wychodzę z łóżka, włączam komputer i loguję się, żeby sprawdzić, czy ten cholerny rachunek jest zapłacony. Po 10 minutach znajduję notę z banku. Dlaczego akurat

**Budzi się żona i pyta, czemu nie śpię. Opowiadam jej o windykatorze i teraz oboje nie śpimy**

w warzywach? Mniejsza z tym, mam 9,92 zł do uiszczenia w nieprzekraczalnym terminie siedmiu dni, a list jest sprzed dwudziestego. Robię przelew i wracam do łóżka.

A jeśli bank wysłał już windykatora? Kiedys odcieł mi prąd, bo nie zapłaciłem w terminie 20 zł odsetek. Muszę zamienić windykatora w ciemność, wygasić i zasnąć.

Mężczy mnie ten windykator, więc w końcu budzi się żona i pyta, czemu nie śpię. Opowiadam jej o windykatorze i teraz nie śpimy oboje.

To jednak trudniejsze, niż sądziłem.

**Światło.** Od niego wszystko się zaczyna i na nim kończy. Otóż gdybym mieszkał w mieście, okleiłbym sobie po prostu okno w sypialni czymś nieprzepuszczającym światła i miałbym spokój. Żadnych latarni czy świateł neonów przenikających do sypialni i rujnujących mój sen. Mieszkam jednak w lesie – kilka razy o tym wspominałem, bo to dziwne, że tyle porad idzie w stronę zamienienia sypialni w część lasu, by lepiej się spało. Skoro jednak naprawdę mieszkam w lesie, to może cierpię

na coś przeciwnego niż to, co zbadali uczeni z Uniwersytetu Harvarda. Oni zbadali już chyba wszystko; czemu się dziwić, że wpływ lasu na mój sen – również.

A więc ci uczeni skłonni byłiby wstawić do mojej sypialni niewielkie lampy dające przyćmione czerwone światło. Mają one sprawić, że mamiony ich kolorem szybciej zasną.

To niedroga rada, czerwoną lampkę wsadzoną do kontaktu łatwo zdobyć, drugą natomiast stawiam na podłodze.

Czerwony blask ma, jak się okazuje, dość jednoznaczoną konotację znaną z licznych filmów oraz dzielnicy czerwonych latarni w Amsterdamie. Nie przypominam sobie jednak, by chodziło tam o uśpienie odwiedzających.

Co gorsza, kontekst natychmiast ląpa dzieci. Skąd mogą znać taki kontekst? Twierdzą, że nie znają, ale w serialu dla dzieci, który oglądają, były odniesienia. Nie tłumaczę tego bliżej i zastanawiam się, czy pytać. Czasem lepiej nie wiedzieć.

**Wykręciłem lampki,** bo czułem się jednak dziwnie, i włączyłem dźwięki pustyni, które też kupiłem. To, zdaje się, po prostu odgłos syjącego się piasku; bez tego odgłosu jest jednak przyjemniej. Jest po prostu ciemno i cicho.

Sam już nie wiem. Może poszedłem spać głodny? Otóż, żeby nie utyc, nie powinienem jeść przed snem. Ale żeby zasnąć – nie mogę nie jeść przed snem.

Aha, całkiem wypadło mi z głowy – w ciągu dnia muszę się porządnie zmęczyć. Zamiast się męczyć, przysypiam nad klawiaturą, bo nie śpię w nocy. Co zresztą powinni zbadac naukowcy z Harvardu, którzy uważają, że śnięcie przed komputerem powoduje, że człowiek nie śpi. Otóż śpi, śpi. I to jak. Ostatnio nawet nie muszę tego komputera włączać, wystarczy, że na niego spojrzę, i od razu się zdrzemnę. Niestety, przeniesienie komputera do sypialni nie pomaga – kiedy go tam widzę, nie śpię, mimo że zjadam dorsza z jajkiem. Zawierają melatoninę i pomagają spać. Na razie nie działa.

Może po prostu powinienem jeść tego dorsza codziennie? Kilka dni bym wytrzymał. Ostatnia rada to powtórzenie sobie w myślach całego dnia: wstałem, zjadłem jajko, nakarmiłem dzieci i psy, usiadłem do komputera i pisałem. Zjadłem dorsza i znowu pisałem. Potem zjadłem jajko, nakarmiłem dzieci i psy, i poszedłem spać.

Mój dzień naprawdę tak wygląda? Serio? To mnie na dobre obudziło.